[Poświętne, koniec sierpnia 1865]

„Hipolitowi Hantowerowi, Konradowi Dobrskiemu i Bronisławowi Łęckiemu

Jako lekarstwo na sen,

…………poświęcam”.

Będzie to list, ale to list, co się nazywa!

Ponieważ nie mam znowu tyle roboty, żebym aż uskarżał się na brak czasu, napiszę Wam liścik wesoły, niewielki, bo tylko 12 arkuszy mający – a do tego ilustrowany.

Nie zaczynam dlatego od samego przyjazdu, że nie miałbym o czym pisać, a prawdę powiedziawszy i teraz niewiele mam materiału, no – ale to już ujdzie. – Były imieniny w tym domu – nazjeżdżało się dosyć gości, i to jakich gości… – można tomy o nich napisać. – [W] wilię imienin przyjechały panny – ale o nich nic do czasu – niech się lepiej rozpatrzę – wolę zacząć od drugiej partii, która przybyła w same imieniny.

Wystawcie sobie, siedzę w piątek i rysuję – Heinego, wtem daje się słyszeć turkot, zajeżdżają dwie bryczki, a z nich wysiadają: numer 2-gi, chudy, młody, sekretarz biskupa, nie wiem, jak się nazywa – zaczyna ogromnie rozprawiać. – Ja milczę jak głaz; tylko przypatruję się księżom jak najuważniej i przysłuchuję się, o czym te filary Kościoła mówić będą – wtem wnoszą ciastka i wino; na to reformat uśmiecha się w duchu, aż mu zęby trzonowe widać, numeru 4 nos poczyna się poruszać i rozdymać złowrogo – a numer 3-ci robi minę tak nieokreślenie błogą, tyle prawdziwego szczęścia i prawdziwej radości błyszczy w jego oczach, że ja sam zastanawiam się w duchu, co to może spokojność sumienia, apetyt i żywa wiara.

Zaczyna się rozmowa, przerywana naturalnie ciągłymi kieliszkami, i traktuje o rozmaitych przedmiotach, ale w szczególności o winach z domu zleceń w Płocku. (*Associacio idearum*.) – Stąd powiada N2, że dom zleceń odbiera dużo Żydom, którzy poprzednio mieli cały handel w swych rękach; potem plecie, że Żydzi są to pijawki narodu, że wysysają zeń soki żywotne, że wrodzoną cechą ich charakteru jest oszukaństwo i podłość – że Żyd zawsze Żydem – itp., itp., itp.

A ty, trutniu, myślę sobie, jeżeli ja ci za Hipolita skóry nie wyłatam, to już źle będzie. – Zapalam więc papierosa, robię luterską minę, przysuwam swoje krzesło do niego i suchym a złowróżbnym głosem pytam:

„Słyszałem, żeś pan wyraził się źle o Żydach – chciałbym więc wiedzieć, z jakiego względu ich nienawidzisz i z jakiego punktu zapatrujesz się na kwestię żydowską?”

Ksiądz się przeraża!

[Tu rysunek 3]

Ochłonął i odpowiada. – Zaczyna się dysputa najdłuższa i najżywsza, jaka tylko być może. Twój brat, Konradzie, z drugiego pokoju myślał, że się tam kto pobił – sam mi to potem opowiadał.

Ja tymczasem gadam jak kołowrotek – cytuję świadectwa historyczne, dowodzę, że jeśli Żydzi dziś się tak odosobnili, to nasza wina – wina stosunków społecznych, w których oni są jakby pariasami – powiadam nareszcie, że ja w cechy wrodzone narodowi nie wierzę – że to jest mrzonka – a charakter narodowy jest zależny w zupełności od okoliczności zewnętrznych, od ziemi, na której naród mieszka, jego stosunków politycznych – ustroju wewnętrznego itp. – N 2-gi bierze rzecz ze stanowiska religijnego, cytuje mi księgi Talmudu: Miszram, Chos, Chosru, Sawades – ja z uśmiechem przypominam mu jeszcze jedną, tj. Gomorę, i napominam go, żeby zszedł z tej drogi rozumowania, która go nigdzie nie doprowadzi, bo zawsze będzie uprzedzony.

Nareszcie ksiądz przyznaje mi rację, że Żydzi wrodzonej cechy nie mają – ale dysputa się nie kończy, a raczej przestaje być dysputą, a staje się jakimś popisem wiadomości socjalnych, ścisłych, religijnych, moralnych, logicznych, filozoficznych – skończyło się na Heglu i na wzajemnym potakiwaniu sobie w szyderstwach i wymyślaniach na Feuerbacha i Straussa.

Po dyspucie księżyna tak mnie serdecznie ściskał za ręce i gadał grzeczności, jak np. że aż miło dysputować z takim, co tak rzecz rozumie – a ja ze swej strony podziwiałem głębokość jego rozumowań i ścisłość wyrażania się – ale w duszy się śmiałem, bo słowo daję, moralne mam przekonanie, że żeby był kto trzeci, co by się znał choć trochę na rzeczy – to by nas wyśmiał.

To mnie jednak najgorzej gniewało, że podczas naszej dysputy ten… którego tytułują lektorem zgromadzenia reformatów, ciągle odzywał się w tym guście: „O, Żydy zawsze psubraty. – Już to Żyd Żydem, szelmą zostanie…” – obracałem się tyłem i udawałem, że nie słyszę.

N IV jest to ten sławny kaznodzieja, co to w Kucicach na kazaniu powiedział: „Weźmiesz żonę – nie patrzysz, jaka jest – a ona ci potem liga – dobrze ci tak, nie trza było kpem być.”

Koniec o księżach.

Dziś przez całą noc śniło mi się o wielkości powołania mego; oto jak przedstawiła mi się mara:

[Tu rysunek 4]

Myślę, że lepiej będzie zaprowadzić w liście tym formę pamiętników ze względu na jej wygodę.

Niedziela, 27

Jestem pod wpływem myśli jeżeli nie smutnych, to przynajmniej poważnych; – dużo się przyczyniło do tego dzisiejsze kazanie, które wypowiedziane było tak rozumnie i tak ładnie, jak rzadko w Warszawie można usłyszeć; zresztą wieczorem była tu jakaś szlachta – wystawcie sobie, cała rozmowa była obmową jakiegoś biedaka, obywatela, który przez źle może zrozumianą gościnność traci majątek – ale w każdym razie ci, co go obmawiali, są właśnie tymi, co u niego najlepiej zajadali i zapijali; aż mi przykro było słuchać – bo przyrównywałem warszawiaków z tymi pasibrzuchami, co prawdziwie, można powiedzieć, kąsają pierś, która ich ogrzewa. Niech sobie kto co chce mówi, ja naocznie się przekonałem, że u nas daleko więcej szczerości i prawdy – zwłaszcza pomiędzy młodzieżą; mówi się dużo w oczy, ale nie obgaduje się po kątach.

Dziś w kościele, żeby nie ja – to jedna pani, młoda i przystojna mężatka, byłaby upadła, tak się na nią pchnęli – już to kto nie ma silnych rąk, to niech lepiej nie chodzi do kościółków wiejskich i małomiejskich – prawo mocniejszego jest tam ogromnie zaaklimatyzowane.

Jest tu w okolicy kilka panien, nawet dosyć przystojnych, i ja, jako guwerner (bo guwerner na wsi musi się kochać, jeżeli nie w domowej pannie, to w okolicznej), ja więc, powtarzam, powinien bym się zakochać w której, ale na nieszczęście przywiozłem tu z sobą fotografię panny J.S.; co spojrzę na nią, to tak maleją mi w oczach te małpki przedrzeźniające warszawianki – że aż mi się zimno robi.

Fotografia ta jest moim zaczarowanym amuletem, geniuszem opiekuńczym i największą przyjemnością.

Naturalnie, możecie mnie posądzać, a zwłaszcza Bronek, że się w or[y]ginale muszę kochać, kiedy tak kopię uwielbiam – ale nie: mam dla or[y]ginału pewną cześć, ale nic więcej.

Pozwólcie, że wam odpowiem oklepanymi słowy z romansów: nie śmiałbym, choćbym mógł – a gdy[by]m śmiał, to bym nie mógł.

Zaczynam – (chciałem powiedzieć: zacząłem) być nudnym!

W każdą niedzielę przychodzą tu z Płońska szyki (naturalnie względne); przepatrzyłem je dziś w ogrodzie jak stare buty – wdzięczyły się niektóre do mnie (bo sam byłem) jak pies do kija, ale udawałem, że ich nie widzę.

Byliśmy dziś w lesie i na polach – złapałem w krzaku jałowcowym żywą kuropatwę.

Dziwna rzecz, a raczej głupia, śniła mi się dzisiaj B., że uciekała przede mną w lesie – w jakim celu ją goniłem? i to jeszcze w lesie? – w gęstwinie?!!… Nie wiem, to tylko wiem, że miała twarz przykrytą żółtą chustką, że się bałem, żeby się nie zamaczała, bo pod nogami moimi chlupała woda (we śnie tylko!), że upadła we wrzosach i nareszcie wpadła do jakiejś Sali, jakby do Sali Posiedzeń w Warszawie, gdzie biedastwo usnęło ze zmęczenia – a ja, przyszedłszy, oganiałem z niej muchy. – Nareszcie brat Konrada wpadł śpiewając i obudził ją i ja się też obudziłem.

Sen ten ogromną sprawił mi przyjemność!…

Stara babka sny tłumaczy,
Powiedz, babko, co się znaczy
Sen taki?
Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.

Słowo daję, uczuwam w tej chwili taką potrzebę zakochania się, że pojęcie przechodzi – ale wolałbym się w jakim Żydzie z Franciszkańskiej zakochać, aby w Warszawie, jak w jakiej pannie ze wsi.

Chciałem teraz napisać głupstwo – wolę się wstrzymać…

Być może jednak, że się zakocham w jakiej warszawiance ze wspomnienia tylko, będzie to dosyć platonicznie i romantycznie, zwłaszcza jeżeli wieczorami wiódł będę z księżycem „dzikie mowy”, zamiast spać iść jak rozsądny człowiek.

Żeby mnie tu kto zszedł na takiej schadzce z księżycem, gotowi by mnie do bonifratrów odesłać.

Dam więc spokój…

Poniedziałek, 28 sierpnia

Chciałem na tej stroniczce, co wydarta, narysować szyczek płoński, ale podpis zasypałem w miejsce piasku atramentem.

Wątpię, czy dziś co napiszę – nie darmo dawniejsi powiadali:

Hodie dies feralis.

Urządzamy sobie o piątej wieczorem polowania na przepiórki z kłomnią (siecią) i zawsze łapiemy kilka – i to rozrywka.

W całej okolicy nie ma nikogo, co by umiał w szachy grać, niektórzy nie wiedzą nawet, czy jakie szachy istnieją na świecie, tyle są prości w nieświadomości swojej.

„Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie.”

Nic nie wiedziałem, że w ogrodzie tutejszym jest taki prześliczny widok, jakiego może cała Polska nie ma.

Wystawcie sobie dziewiczy australski las; środkiem stoi woda, całą tak pokryta rzęsą, że ani kropli czystej nie widać, i woda ta ciągnie się długo a wąsko między ogromnymi drzewami świetnej także zieloności. – Około gałęzi i pni drzew wije się niezliczone mnóstwo pnących roślin, dzikiego wina, chmielu i innych, które plącząc ze sobą zielone warkocze swoje, tworzą pyszne girlandy, rotundy i jakby wodospadem zieloności spływają w spokojną i zieloną także wodę. – Cisza tam taka, że usłyszeć można każdy szmer liścia – czasem tylko czysty głos wilgi przerwie ten uroczy spokój i tęskne obudzi uczucia albo pukanie dzięcioła tajemniczym echem odezwie się po lesie.

Słońce tam nie dochodzi – tylko przebija przez zieloną obsłonę i jej kolorem barwi swoje promienie, a te zielone promienie rzuca na czarne pnie, ziemię, szaty i twarz podróżnika – słowem: tam jest panowanie zieloności.

Wiecie rzeczywiście, co to jest? Oto kanał zielonej i brudnej wody stojącej między krzywymi olszakami, z których zamiast cudnego śpiewu ptasząt prędzej co na nos spaść może.

Ale przy tym, słowo daję, to jest tak piękne! Przynajmniej tak wygląda, jak poprzednio opisałem.

(W tej chwili Staś dostał klapsa, bo złapał niedopalonego papierosa, chociażem mu już kilka razy mówił, żeby nie ruszał.)

Taka to kolej rzeczy ludzkich!

Może jeszcze wieczór co napiszę albo wezmę się do wyrysowania jednego szyczku, który mi się już raz nie udał.

Powiedzcie sami, jaki ze mnie próżniak, nie wziąłem się jeszcze do skończenia Heinego i być może, że się wcale nie wezmę.

Rzeczywiście, dobrze mówiłem, że wieczór może co napiszę – już to zwykle o tej porze jestem najbardziej usposobiony do tego, tylko nie wiem, dlaczego poważniej. Dziwna rzecz, lubię wieczorem wspominać dzień cały, a nawet całą przeszłość, i jak w dzień jestem dosyć roztrzepany, czasami cyniczny, czasami głupi, tak uważam, że wieczór choć do rany mnie przyłóż, jestem najlepszy wtedy. – Dosyć lubię siedzieć po ciemku, wtedy myślę nad sobą: często tak bywa, że zgaszę świecę, sam siedzę jeszcze z kwadrans albo pół godziny i tłukę się z własnymi myślami, nim się położę.

Pamiętam, że niedawno, bo może przed rokiem, nadzwyczaj wierzyłem w świat – a szczególniej w kobiety – marzyłem sobie jakiś ideał, dla którego bym mógł poświęcić życie.

Konrad wie o tym, bo on zwykle w takich chwilach nawracał mnie i pokazywał mi świat ze strony nie wiem, czy prawdziwej, ale nie pięknej; ja trochę mu wierzyłem, ale nie bardzo, bo i dziś jeszcze nie wierzę, choć się już nieraz przekonałem, że z pewnych względów ma rację.

Był tu dziś doktór z miasteczka, nie do chorego, tylko z wizytą; postać to dosyć charakterystyczna; niezmierny takt widać w nim, a takt to wielka rzecz, to wrodzona łatwość w życiu z ludźmi – to warunek i podstawa jakości tego życia.

Przyprowadził ze sobą szwagra – miły i widać dobry człowiek, ale nie z powierzchowności, gdyż twarz ma podobną do starej i spróchniałej trupiej głowy. – Może właśnie dlatego wziął go sobie doktór za szwagra.

Opowiadałem w drodze doktorowi o tutejszym dziewiczym lesie…

Wtorek, 29 sierpnia

Chciałbym się zakochać tylko dlatego, żebym mógł wam donosić o kolejach mojej miłości, i mógłbym to zrobić zapewne, bo w ogóle dziewice tutejsze odznaczają się dziwną skłonnością do tego uczucia, tylko nie zawsze zbyt idealnie je pojmują – czego ja się trochę obawiam.

Nie, ale to zabawne by było: Ona by przyszła szarą godziną… do ogrodu, ja także z biciem serca tam bym pośpieszył i ujrzałbym jej białą sukienkę migającą w krzakach… wtedy wydałbym westchnienie, przybliżyłbym się nieśmiało i zaczęłaby się rozmowa (jeślibym wiedział, od czego zacząć).

Ach! te nieszczęsne
(gdy) bym i (gdy) by…

[Tu rysunek 5]

I czyż na taki widok nie przyjdzie wam na myśl obraz szczęścia, jakiego można używać na wsi przy dobrym humorze i gęstych szpalerach?

Każdy człowiek z pewnym szykiem postąpiłby sobie tak jak ten młodzieniec, którego obraz tu widzicie – ale ja – ja, jeżeli idę do ogrodu – to na pomarańczówki…

Powiedział jeden młody człowiek, co się patrzył na ostatni rysunek, że prawda psychologiczna jest zachowana; miałem się go spytać, gdzie ją przede wszystkim widzi – ale wolałem mu przepuścić, bo byłby nie odpowiedział.

No, bo kto też pyta coś psychologicznego w takim uścisku, w którym aż kości trzeszczą: chyba Jezierski zrobiłby jaką premissę, a co prędzej subalternatio, bo to jakoś bardziej by wypadało.

Przez okno widzę szyki z Płońska w ogrodzie, spieszę więc tam – stąd już widać, że mają nowe trzewiki i czyste pończochy.

Jeżeli będzie co, to może wyrysuję!

Jest teraz wieczór – ładnie wygląda przy świecach ten obrazek, chłopiec jest przystojny, dziewczyna zgrabna i przy tym widocznie ogromnie zakochana – chciałbym ją widzieć z przodu.

Szyki z Płońska rzeczywiście niezłe, ale tłuste jak na jarmark.

Jak się rozochocę, a sypnę ilustracjami, to już i niewiele napiszę do końca tego zeszytu, tylko nieszczęściem zepsuł mi się pędzelek, więc i brzydziej się robi, i zmuda, a tego najbardziej nie lubię.

A niech mnie kosztuje.

Zacznę od szyków i humorystyki, bo dla niej mam tu ogromne pole; ja sam nie wiem, co by to się działo, żeby tu przyjechał choć na parę tygodni taki Kostrzewski, a toż cała Warszawa trzęsłaby się od śmiechu.

Za dwa dni jadę do Warszawy, są imieniny mojej matki, a na drugi dzień Izy. – Konrad wie, co to jest, ale żeby zanadto nie powiedział, wolę sam się przyznać, że to jedna mała smarkata z czarnymi jak węgiel oczami i włosami – *alias* kij wierzbowy ucięty na drodze do Jeziornej i ochrzczony Izą.

Ale kij tak nazwany na jej pamiątkę.

Przypominam sobie fensterparady; ona siedziała w oknie (mieszka na dole) z kuflem mleka w ręku i z gębą tak pełną bułki, że mówić nie mogła (chociaż i tak do mnie nic nigdy nie mówiła), a ja przechodziłem wydając ciężkie westchnienia i spoglądając na nią jak lis na winogrona.

W Warszawie to życie!

I byłbym pozyskał jej wzajemność, gdyby nie pewien młody człowiek, nasz kolega.

Młodzian ten jest tak olśniewającej piękności, że kiedy się pokazał pod jej oknami, kiedy oczy jego spojrzały uroczo, a radość rozdzieliła koralowe usteczka, zaraz jej oko zaprószył i choć zaprzeczał temu, mówiąc z niewysłowionym uśmiechem: „Bajki”, widocznym było jednak, że dziewczyna w nim zakochana.

Oto jej portrecik:

[Tu rysunek 6]

Jego portretu wam nie daję, bo za słabe moje pióro, a raczej mój pędzelek do stworzenia podobnego ogromu piękności, to tylko wam powiem, że młodzian ten modelował i modeluje u

najpierwszych malarzy jako bohater wszystkich obrazów historycznych, jako tkliwy pasterz w sielskich, a czasem i w rodzajowych.

Patrzcie, jaką babę widziałem, ażem się przeląkł.

Pisałem to wczoraj z tą pewnością, że tę babę wyrysuję, ale dziś mi się nie chce wolę wam zrobić coś ładniejszego.

Środa, 30 sierpnia

Rzeka Płonka wylała, tworzą się doskonałe kąpiele, wskutek tego nie chodzę do ostatniego szpaleru, bo mógłbym przypadkiem zobaczyć jaką Zuzannę puszczającą swoje warkocze na wodę. Jakkolwiek mógłbym sobie takiego widoku pozwolić jako artysta-malarz, który w klasyczno-akademicznej nagości pięknych mieszkanek Płońska mógłby czerpać wzory do przyszłych swych utworów, które mają zadziwić współczesnych i potomnych – to jednakże przez wzgląd na swą młodość, gorącą krew i inne uboczne okoliczności wolę się nie narażać na utratę spokoju sumienia i tej białej szaty niewinności dziewiczej, w jaką dotychczas jestem obleczony.

Macie wprawdzie prawo spytać mnie, skąd wiem o kąpielach tych nimf, kiedy nawet na odległość strzału karabinowego się nie zbliżam…

Sam uważam, że trudno mi prowadzić pamiętnik przy strasznie jednostajnym sposobie życia. – Później wezmę się do napisania prawdziwego pamiętnika, który będzie nudny do najwyższego stopnia, ale za to bardzo moralny, gdy tymczasem ten nie odznacza się koniecznie poczuciami etycznymi.

Wtedy się poprawię, będę ogromnie pracowity, ogromnie rozumny, nie będę śpiewał tak jak dziś, tylko czasem wieczorem pójdę do szpaleru z cygarem w ręku i z książką pod pachą – za to będę miał sławę pierwszorzędnej mądrości w okolicy.

Prawdę powiedziawszy, tu o to nietrudno!

Tymczasem panny okoliczne pozakochiwają się we mnie, ja także w jednej – nareszcie po wielu przeszkodach, intrygach, perypecjach i katastrofie cały romans dobrze się skończy – ożenię się i osiędę na roli ze swoją drogą.

Będzie to miłość, o jakiej mieszkańcy miast wyobrażenia nie mają.

Mieszkamy z żoną w białym dworku, takim poetycznym, śpiewającym wieczorami od świerszczów, jak powiada Słowacki, i ocienionym zielonymi topolami, jabłonią, smutnymi jaworami.

W alkierzyku cicho, spokojnie, tylko muszka zabrzęczy po szybie, tylko zaszeleści firanka znad Matki Boskiej, tylko maleństwo w kołysce zakwili.

I nieraz w pogodny, złocisty wieczór letni wyjdziemy z żoną na ganek i opatrywać będziem troskliwym okiem naszą chudobę, a ciepły wiaterek zbliży się do nas i pomuszcze złote włoski niebogi mojej, pocałuje lekkim powiewem w białe czoło lub ze śnieżną sukienką się popieści.

Wtedy taką cudną i złotą moją królowę przycisnę do serca i wzniosę ku gwiazdom załzawione oczy dziękując za skarb mój jedyny.

O! taki wieczór to chwila nieziemskiego szczęścia dla mnie, kiedy przyjdzie włodarz i pokaże pełne kłosy pszenicy, kiedy bydełko będzie wracać z klekotkami z pola, kiedy senne ptastwo schylać będzie ociężałe główki z gałęzi.

A mój ideał, moja wymarzona i wypieszczona żonka wyjdzie z pożywnym ziarnem w fartuszku przed ganek i swym srebrnym głosikiem zacznie wołać: „Cip! cip! kur! kur! maluśki! maluśki! maluśki!", a obdzieliwszy nasz dobytek, zaprosi mnie do wieczerzy, na kartofle suto skwarkami przytrząśnięte!

A z nami zasiądzie i poczciwy karbowy, od którego wódka będzie buchać jak z kufy, i zatabaczony pleban, co pobłogosławi pożywienie, i kiwająca się nad pończochą stara niańka.

O! życie, życie! czemuż się człowiek z właściwej nie pojął strony.

Wprawdzie w nocy pluskwy będą nas gryzły cokolwiek, ale za to usypiać nas będzie tęskny głos komarów nucących swoje nocne piosenki.

Rankiem, chociaż wcześnie wstaję, zbudzi mnie pocałunek jej ust różanych, bo ona jak ranna ptaszyna przed wschodem słońca się zerwie, aby powitać mnie piosenką wesela.

Potem pokłóci się z gospodynią o to, kto zjadł kożuszek ze śmietanki i napoczął świeżą bułkę chleba.

I tak dalej wdzięcznie szczebiocząc zakasze białe rączki i zacznie siekać mięso na pierogi tętniąc w stolnicę tasakiem, aż się szyby trząść zaczną.

Następnie… w kilkanaście lat później, kiedy czas nieubłaganą ręką poora skronie nasze, a namulane dłonie moje trząść się będą od pracy – wtedy otoczy nas szacunek ludzki, miłość dzieci i życzliwość kmiotków.

Ja wtedy wieczorami będę grywał z ekonomem w mariasza, na wieczór jadał jaja na occie, śpiewał litanię w kościele, aż zamrę spokojnie której nocy.

A ona?

Ona, ta moja uwielbiana, piękna i wiotka niby mgła wiosennego rana, będzie miała wtedy już dobrą tuszę, świecące policzki i nabożną – niezmiernie nabożną duszę.

I będzie co dwa dni chodzić do spowiedzi, co dzień się komunikować – w niedzielę nawet pościć zjadając tylko ryby na oleju… będzie zażywać tabakę i kichać lewą dziurką, bo prawą już będzie miała zatkaną z samego wieku.

Aż zamrze spokojnie której nocy!

A świat powie: „Dobrzy byli ludziska, ale…”

„Ale głupi” – dogadzają przeciwnicy spokoju.

Ja jestem tego samego zdania!

I poeta jaki opisawszy nasze życie zakończy wielkimi, choć nie swoimi słowy:

Oto jest romans życia nie skłamany niczem,
Zabite niestrawnością, jedno z młodych kona,
A drugie z odwróconym na przeszłość obliczem
Dewocje na starość – powieść ukończona!!!

Pewno łzy wam stoją w oczach?!!

[Tu rysunek 7]

P.S. Ilustracji, przyznaję – mało i nieszczególnie, ale będzie więcej i lepsze, bo pojutrze jadę do Warszawy, kupię pędzelek i talerzyk do rozcierania tuszu.

P.S. Może trochę cyniczna była całość – ale to tak już być powinno pod dewizę Heinego, zresztą widocznie tu wszystko zależy od usposobienia dniowego.

P.S. Zmiłujcie się, pisujcie jak najczęściej i jak najdłużej – co tydzień! – koniecznie co tydzień – wszak to moja rozrywka cała.

P.S. Jeżeli się zakocham, nie omieszkam natychmiast Wam donieść, spodziewam się, że pospieszycie z radami, nad którymi będę ziewał.

P.S. Do Konrada –

Panna D. nazywa się na imię Wiktoria – a panna J. nazywa się Henryka.

Jak Hipolita puszczą, proście go, żeby mi doniósł koniecznie, jak jego interesa stoją. – On będzie wiedział, jakie; powiedzcie mu, żem przewidział i chcę tylko sprawdzić.